

ROZDZIAŁ 1

Zuza

Być albo nie być

Byłam spóźniona. Horrendalnie, niewyobrażalnie spóźniona! Biegłam pustym korytarzem uniwersytetu, znając na pamięć każdą szczelinę w jego ścianach, nierówny próg przy małej auli oraz śliskie jak lodowisko schody, olewając przy tym mijane osoby. Raz nawet wpadłam na jakiegoś gościa w koszuli, wymamrotałam błahe przeprosiny i poleciałam przed siebie. Liczył się tylko wykład u Strzyżowskiego. Wykład, na który, o zgrozo, zasnęłam!

A przecież nastawiłam budzik!

Ustaw w smartwatchu – mówili. Jest połączony z telefonem – to też mówili.

I co?

I jajco!

Ogromne strusie jajco!

Pierwszy wykład z kardiologii w semestrze i wielka wtopa! No, jak stąd do Chin. Z dobrej, bo nie najlepszej, studentki miałam stać się czarną owcą szóstego roku medycyny. Mogłam sobie już tylko pomarzyć o wyróżnieniu na koniec studiów. A tak ciężko pracowałam, by udowodnić wszystkim, że będę dobra. NAJLEPSZA!

– Zuza, weź się w garść! – Żałośnie próbowałam dodać sobie otuchy.

Jedną ręką przytrzymałam zwisającą z ramienia torbę, a drugą opierałam się o gładką ścianę, którą pokrywała lamperia z lat dziewięćdziesiątych. Stałam tuż obok drzwi sali wykładowej profesora Strzyżowskiego i bałam się wejść do środka.

– Raz kozie śmierć – szepnęłam i złapałam za klamkę, jednak nie miałam na tyle odwagi, by ją nacisnąć. Każdy zdrowy na umyśle student wiedział, że profesor nie uznawał spóźnień. Kurwa! On za nie oblewał, lecz przedtem pastwił się na idiotcie, który ośmielił się dopuścić tego haniebnego czynu.

Byłam w dupie. Głęboko jak nigdy wcześniej.

Moja komórka zawibrowała po raz kolejny, dając znać, że Eliza nieustannie się do mnie dobijała. Już całe piętnaście minut temu, dokładnie od momentu otwarcia oczu i spojrzenia na zegarek, wiedziałam, że się spóźniłam. Moje ubieranie się oraz sprint na uczelnię z pewnością pobiłyby rekord Guinnessa, gdyby takowy istniał. Natomiast każdy stomatolog z obrzydzeniem patrzyłby na sposób mojego dzisiejszego zadbania o jamę ustną. Wręcz rozgniotłam pastę na zębach, a po niespełna dwóch sekundach ją wyplułam. Z kuchni zgarnęłam jabłko, licząc na to, że mit obalony przez wszystkich możliwych profesorów, okaże się jednak prawdziwy i jabłko zastąpi poranne szczotkowanie.

– Otworzysz sama, czy mam ci pomóc?

Zbaraniałam, gdy zza pleców dobiegł mnie męski głos, po czym, nie strzępiąc sobie nadto języka, palnęłam bez zastanowienia:

– Że co?

Z ciekawości obróciłam się lekko i zerknęłam na wysokiego bruneta, który świdrował mnie spojrzeniem ciemnobrązowych oczu. Następny elegancik z teczką w dłoni. Nie miał szczęścia – tak jak ja. Mimo swojego nieskazitelnego wyglądu z idealnie wyprasowaną koszulą, znajdował się w tym samym odbytym miejscu co ja.

Olśnienie!

Gdyby tak udało mi się wślizgnąć za „Misterem Polski”, Strzyżowski nawet nie zwróciłby na mnie uwagi. Cała aula skupiłaby wzrok na „Mister Lover Lover”, a szara myszka usiadłaby grzecznie na pierwszym lepszym miejscu, udając pilną uczennicę.

– Mam pomóc? – dopytał.

– Śmiało, przodem.

Niemal nonszalancko zachęciłam koleśka, który najwyraźniej nie miał pojęcia, że jest owieczką idącą na rzeź. Cóż, prawo dżungli, a raczej uczelni, równało się prawu przetrwania. Ja albo on. Kardiologia albo zmywak. Stetoskop albo obieraczka do warzyw. Zwycięzca był tylko jeden.

– A ty?

– Tuż za tobą – wymamrotałam jak potłuczona. Koleś popatrzył na mnie jak na niespełna rozumu niedojdę i lekko otworzył usta, jednak wstrzymał się w ostatniej chwili i złapał za klamkę.

I bardzo dobrze!

Pragnęłam zakończenia tego koszmaru tak bardzo, jak podwórkowy Burek kości z obiadu. Zbyt ciężko pracowałam przez ubiegłe pięć lat, by wyłożyć się niczym kompletny cymbał na ostatniej prostej. Lepiej, żeby padło na niego. Uczynna do bólu – cała ja.

– Pani przodem – zagrzmiał donośny, melodyjny głos cwa-niaczka z wybiegu Top Model.

A niech go, kurwa, jaskółki podziobią!

– Co ty robisz? – wycodziłam.

– Wyglądasz jak przed zawałem, a przynajmniej podczas ataku paniki. Nie zostawię cię na korytarzu.

Matka Teresa z Kalkuty się znalazł! No, ja pieprzę! Takie ku-rewskie szczęście mogło spotkać tylko mnie! A przecież wszystko powinno iść po mojej myśli!

– Samarytanin pieprzony – mruknęłam pod nosem, jednak na tyle głośno, by mnie wybawiciel narodu usłyszał.

No i usłyszał.

Na początku brązowe oczy z drobinkami miodu otworzyły się szeroko w niepojętym zdziwieniu, by następnie zabłysnąć czymś, czego jeszcze nie widziałam u żadnego faceta. Stawiałam na słynne „kurwiki” podwórkowych lowelasów, którzy gdzie zerkną, tam zaliczą. Bo lowelas był z niego całkiem niezły, zdążyłam to zauważyć, mierząc go wzrokiem od stóp po czubek głowy, a raczej w odwrotnej kolejności, i z powrotem.

– Pani Szarlotko, mam zaproszenie pani wysłać? – zagrzmiał głos Strzyżowskiego.

Ja pieprzę! – pomyślałam, nim przekroczyłam próg sali. Nawet spłynęło po mnie jak po kaczce to, że profesor – jak zwykle – przekreślił moje nazwisko. Następnie błyskawicznie podreptałam

w kierunku schodów auli z nadzieją, że uda mi się mimo wszystko przecisnąć pomiędzy studentami i skryć obok Eli, siedzącej na naszym stałym miejscu, za jednym z dryblasów z uczelnianej drużyny siatkarskiej. Tym razem wybrała idealnie, gdyż nawet ja nie mogłam jej dostrzec, a trudno było przeoczyć długonogą, blond piękność. Być może dlatego nieustannie się do mnie dobiwała, wysyłając milion wiadomości na mój telefon.

– Chyba nie zamierza pani robić więcej zamieszania niż do tej pory? – Głos profesora ponownie przebił się przez gęste jak kisiel powietrze.

Bez zbędnego gadania klapnęłam pośladami na krzesło w pierwszym rzędzie. Najciszej jak mogłam wyjęłam zeszyt, długopis i okulary, a gdy odstawiłam torbę na podłogę, ta cholera musiała się przywrócić. No, musiała! A ja, zamiast rzucić się w pogoń za toczącym się po podłodze jabłkiem, nawet nie drgnęłam, czując, jakby moje nogi były z ołowiu. Oglądałam widowisko w zwolnionym tempie, a z każdą mijającą sekundą kolory coraz bardziej blakły, ukazując moją przyszłość w monochromatycznych barwach: zmywak, rodzinna restauracja, obsługa klienta do końca życia, obieraczka do warzyw, zdegustowanie perfekcyjnej starszej siostry, pobłażliwy uśmiech matki i obojętność w oczach ojca. Niegdyś ukochanego taty, uczącego mnie marzyć.

Kurwa! Kurrrwa! Kuuurrrwwwwaaa! – wybrzmiało w mojej głowie, a na sali panowała kompletna cisza. Tak głucha, że aż wyc mi się zachciało.

Czułam na sobie spojrzenia wszystkich zgromadzonych i dałabym sobie rękę uciąć, że świdrujące oczka Strzyżowskiego właśnie dokopały się do mojego mózgu w poszukiwaniu szarych komórek. Usłyszałam dość głośne prychnięcie i byłam pewna,

że to Eliza. O ile to możliwe, pochylałam głowę jeszcze niżej. Ba! Nawet przymknęłam oczy z nadzieją, że zniknę.

Oczywiście nic takiego się nie stało, a wręcz przeciwnie, cała uwaga została skupiona na mnie, gdy piękniś, z którym weszłam do sali, odezwał się swoim przesłodzonym głosem:

– Wypadło pani, pani Szarlotko.

Psia dupa! Wiedziałam, że mi wypadło, wszyscy wiedzieli. Musiał się wtrącić, zakichany Sherlock od siedmiu boleści, z przebłyskami dobrych manier, podczas sesji rozstrzygającej moje być albo nie być. Już nie mogłam dłużej udawać. No bo jak? Skoro facet podsunął mi jabłko pod nos i czekał, aż odbiorę swoją własność.

Podniosłam wzrok, by spojrzeć na swego etatowego WYBAWCE, i gdybym tylko mogła zabić przy pomocy tego zmysłu, leżałoby przede mną jego dwumetrowe truchło.

– Dziękuję – wycedziłam, przyjmując owoc, po czym położyłam go na stoliku i wbiłam wzrok w tablicę.

Za wszelką cenę starałam się ignorować osobę stojącą przede mną, lecz to nie był mój dzień. Kolesi usadził swoje dupsko tuż obok i rozparł się na krześle co najmniej jak książę Persji.

W tym czasie profesor Strzyżowski kontynuował wcześniej rozpoczęty monolog, instruując, jak przygotować się do egzaminów. Jakimś dziwnym trafem pominął mój brak odpowiedzialności, więc po pełnych napięcia dziesięciu minutach, podczas których niemal nie spuszczałam oczu z zegarka nad tablicą, poczułam, że moje ciało opuszcza adrenalina.

Spróbowałam uspokoić tętno i skupić się na wykładzie, jednak typ siedzący obok coraz mocniej się o mnie opierał. Jakby nie miał swojego krzesła!

- Zaraz na mnie wleziesz – warknęłam.
 - Próbuję czytać, co tam gryzmolisz, ale pismo lekarskie opnowałaś do perfekcji.
 - Nie dla psa kiełbasa, palancie.
 - Palancie? Taka ładna dziewczyna, a tak brzydko się wysławia – odparł, a następnie przyciągnął mój notes do siebie i zaczął bezczelnie dopisywać notatki do moich zapisków. No, chyba go słońeczko za bardzo przypiekło w te wakacje. Wyrwałam swoją własność, niefortunnie sprawiając, że jego pióro, wyglądające na drogie, zostawiło kreskę na całej długości kartki. Co za typ!
 - Pilnuj swojego zeszytu – syknęłam.
 - Ja już to wszystko wiem.
 - Cwaniaczek. A później przyjdiesz w łaskę. Nie licz na notatki!
 - Nie poratujesz kolegi po fachu?
 - Pani Szarlotko, skończy już pani przeszkadzać? – przerwał nam Strzyżowski. – Czy może czuje się pani na tyle pewnie, że poprowadzi wykład za mnie?
 - Przepraszam, profesorze – wydukałam, czując powracające na policzki rumieńce.
- Wykładowca nie spuszczał ze mnie wzroku przez dobre kilkanaście sekund, które śmiało mogłam nazwać jednymi z najbardziej stresujących w moim życiu, a potem się zaczęło. Przez kolejne minuty byłam wręcz torturowana pytaniami na temat chorób wieńcowych, defektów budowy serca, żyłaków i wszystkiego, co wpadło Strzyżowskiemu do głowy. Uwziął się na mnie, ale sama byłam sobie winna, więc pozwoliłam mu pastwić się nade mną, aż utknęłam na pytaniu, na które nie znałam odpowiedzi.

Eliza musiała wiedzieć, że się zacięłam, bo nie odpuszczała i wysyłała mi raz po raz nową wiadomość, której – pod bacznym spojrzeniem profesora – nie miałam nawet jak przeczytać. Zawsze mogłam na nią liczyć: w chwilach największego stresu, zagrożenia i wlewania w siebie hektolitrów alkoholu. Tak było i tym razem. Prawie bym się rozczuliła, gdyby nie fakt, że facet gapił się na mnie jak sroka w gnat i wyczekiwał jakiegokolwiek reakcji.

- Doczekam się odpowiedzi na to pytanie, pani Szarlotko?
- Panie profesorze... Ja, nie wiem.
- To może chociaż pani wie, co jest tego powodem?
- To, że się nie przygotowałam? – zapytałam niepewnie.

Facet spojrzał na mnie jak na kompletną idiotkę i mogłabym przysiąc, że drgnęła mu warga z rozbawienia. To musiał być jakiś majak, może jednak podczas biegu na wykład w coś przygrzmociłam. Nikt nigdy nie widział, by Strzyżowski się uśmiechnął. Prezencją przypominał najpoważniejszego mężczyznę na świecie: zawsze dobrze ubrany, ogolony, elegancko ostrzyżony, a w jego wypastowanych i wypolerowanych butach można było przejrzeć się jak w lustrze i nawet namalować kreskę eyelinerem na oku.

Na sali znów nastała cisza. Być może trwała od samego początku, lecz ja, pochłonięta swoim głupim nieszczęściem oraz pytaniami wykładowcy, jej nie zauważyłam.

– Kardiomiopatia restrykcyjna – szepnął mój sąsiad, przypominając mi o swojej obecności i stukając piórem w notatki, które niedawno zapisał w moim zeszycie.

- Co kardiomiopatia restrykcyjna?
- O nią pytał. Znasz?

– Oczywiście, że znam – zachnęłam się. – Tylko zapomniałam – dodałam, tłumacząc się nieudolnie. I to temu, który patrzył na mnie pobłażliwie.

– No to dalej, ciasteczko, odzyskaj przychylność profesora – zachęcił i gdyby nie to „ciasteczko”, byłabym mu prawie wdzięczna.

Mój mózg zaczął pracować, trybiki uruchomiły szare komórki, przypomniałam sobie wszystko, co wiem na temat tego schorzenia serca. Wniosek był tylko jeden:

– Pacjentka potrzebuje przeszczepu serca – palnęłam z szeroko otwartymi oczami, pełna zdziwienia dla swojej bezpośredniości.

Kardiomiopatia restrykcyjna to najpoważniejsza z odmian tej choroby. Szanse na życie z nią są niewielkie, a pacjenta, którego serce jest znacznie uszkodzone, od razu wrzuca się na listę oczekujących na przeszczep.

– Zgadła pani – odparł poważnie Strzyżowski. – Lepiej późno niż wcale. Skoro tak dobrze pani idzie, mam jeszcze jedno pytanie: już się pani domyśliła, że pomyliła pani sale wykładowe, czy to wciąż stanowi zagadkę i powinienem wskazać pani drogę na zajęcia szóstego roku?

Zamarłam. Po dość długiej chwili rozum wrócił na swoje miejsce, jednak jedyne co był w stanie wyartykułować to: ŻE CO?

Jak to było możliwe? Jakim cudem? Przecież wszystko wczoraj sprawdziłam, naszykowałam przed snem zeszyty, plan zajęć, nawet śniadanie. Tak jak zawsze. Poranną organizację opanowałam do perfekcji. Więc JAK?

Szmer, potem cichy chichot i w końcu donośny śmiech rozszły się po auli. Mister Polski, jak go nazwałam w myślach, nie

wydał z siebie dźwięku, lecz nie mógł pohamować drżenia ciała. Natomiast we mnie wzbierała ochota, by w coś uderzyć, może nawet komuś przywalić. I to mocno. Jednak nie zdecydowałam czy sobie, czy mojemu sąsiadowi. Jedyne co ogarniałam swoim przyćmionym umysłem to poczucie wstydu, upokorzenia i coraz bardziej palący ogień na policzkach.

– Proszę zostać do końca, mamy do wykorzystania jeszcze niecałe pół godziny. Na pani miejscu zastanowiłbym się nad kardiochirurgią, skoro radzi sobie pani z bardziej zaawansowanymi diagnozami.

Teraz to mnie dopiero z butów wyrwało.

KARDIOCHIRURGIĄ?!